

Ann Lee

Wilk z Redwood



XI

Kolejne dni mijały w Redwood niczym kartki wrywane z kalendarza, a każdy podobny był do poprzedniego. Jonah wtopił się w szkolną społeczność, znajdując sobie w niej własną przestrzeń. Meggy odpowiadała warczeniem na jego zaczepki i dwuznaczne komentarze. Reed Hut po niefortunnym spotkaniu na korytarzu nadal unikała kontaktu z nim, umykając w przeciwnym kierunku kiedy tylko krzyżowały się ich drogi. Od jakiegoś czasu przestała nawet nawiedzać go w snach, więc z biegiem dni przestał się nią interesować. Po pierwszej rozmowie Ashley nie wspomniała już więcej o Suzzie i choć co jakiś czas kazała odwozić się do domu, była wtedy skupiona raczej na przekonywaniu go, jak cudownym miejscem jest zachodnie wybrzeże. Nic nie wskazywało, by przejęła się rewelacjami na temat swojego chłopaka, albo miała być zła na Jonaha za rozgłaszanie takich plotek. Wprost przeciwnie, zdawała się tryskać humorem i pilnowała, by chłopak zawsze był w pobliżu. Wszystko to nie oznaczało jednak, że na Zachodnim Wybrzeżu panowała sielska, bajkowa atmosfera. Wprost przeciwnie. Zaczynało się robić coraz dziwniej.

- Znowu to oglądasz? - Jonah jęknął z dezaprobatą, widząc na zawieszonej w salonie plazmie dokładnie ten sam serwis informacyjny, który przed chwilą wyłączył na swoim tablecie.

- Dziennikarze mówią, że to jakiś seryjny psychopata.

- Dziennikarze zawsze mówią to, co najlepiej się sprzedaje.

- Dobrze, że Samantha wyjechała już na uniwersytet.

- Tak, bo w Bostonie nie ma psychopatów i jest super bezpiecznie. – Spojrzał na idealnie wykadrowaną plamę krwi na leśnym parkingu.

- To już piąta dziewczyna, a policja nadal nic nie wie. Podejrzewają dzikie zwierzę.

- To nie dzikie zwierzę. – Jonah wyłączył telewizor. - Puma mogłaby zaatakować w środku lasu, nie na ulicy, czy parkingu. Leśnicy wykluczają niedźwiedzia, a wilk nie jest wystarczająco silny, by rozerwać człowieka na strzępy.

- Więc uważasz, że to człowiek?

- Nie, to nie człowiek. – Chłopak wzdrygnął się na wspomnienie wizji ataku na dziewczynę idealnie pokrywającej

się terminem z drugim morderstwem. - To bydlę.

- Zważaj na język!

- Tylko dostosowuję go do sytuacji. – Z jabłkiem w dłoni zaczął się wspinać po schodach.

- Wybierasz się gdzieś po szkole?!

- Przecież mam szlaban!

- I dobrze. Przynajmniej nic ci nie grozi.

- Samotna nastolatka w środku lasu, to nie mój profil! - Odkrzyknął, będąc już przy drzwiach wejściowych.

W oczekiwaniu na otwarcie bramy Jonah przeglądał wyświetlającą się na ekranie komputera playlistę w poszukiwaniu dobrej muzyki na drogę do szkoły. Gdy podniósł wreszcie głowę, ku swojemu zdziwieniu znalazł się oko w oko z mężczyzną w radiowozie, który był wyraźnie zaskoczony nagłym otwarciem się bramy. Obaj powoli wysiedli ze swoich pojazdów, nawet na chwilę nie spuszczać z siebie wzroku, niczym dwaj kowboje na Dzikim Zachodzie.

- Dzień dobry, synu. Szeryf Matt Strzyżewski. - Mężczyzna

dotknął runda kapelusza.

- Jonah Wolf, w czym mogę pomóc, szeryfie? - Stanęli naprzeciw siebie, rozdzieleni linią graniczną, stworzoną przez szynę potężnej stalowej bramy.

- Czy jest ktoś z dorosłych w domu? - Jonah bez słowa sięgnął po telefon.

- Pozwól na górę... szybciutko. – Odezwał się, wykręcając numer matki. Mundurowy i nastolatek patrzyli na siebie ciekawie w milczeniu.

- Piękna maszyna. – Szeryf kiwnął głową w stronę półciężarówki Jonaha. - 1000?

- 1500.

- Potężna maszyna. Czuje się moc pod nogą?

- Nie miałem okazji wypróbować.

- Mhm.

Po krótkiej wymianie zdań ponownie zapadło milczenie, przerwane na szczęście pojawieniem się matki Jonaha. Kobieta popatrzyła odrobinę skonsternowana najpierw na stróża prawa, a potem swojego syna.

- Co zmalowałaś?
- O ile wiem, to nic. – Chłopak odwarknął jej półgębkiem.
- Szeryf Matt Strzyżewski, proszę pani. Ja nie w sprawie pani syna.
- Elizabeth Wolf. – Podała rękę mężczyźnie. - Zechce pan wejść?
- Tak właściwie to ja tylko przejazdem. Muszę objechać jeszcze sporo domów w okolicy.
- Co pana do nas sprowadza?
- Przede wszystkim, nie miałem jeszcze okazji powitać nowych mieszkańców naszego hrabstwa. – Raz jeszcze dotknął runda kapelusza. – Sprowadza mnie jednak inna sprawa. Policja stanowa poprosiła nas byśmy wzmogli patrole.
- Chodzi o te zabójstwa?
- Więc już pani słyszała?
- Trudno nie słyszeć, jak telewizja trąbi o tym przez cały czas. Sądziłam jednak, że to miało miejsce na południe i wschód od zatoki. Zabójca przeniósł się w naszą okolicę? - Kobieta była wyraźnie przestraszona tą informacją.

- Wydajemy ostrzeżenie dla wszystkich rejonów zatoki.
Gdyby zauważyła pani coś dziwnego...

- Ja pracuję w domu i praktycznie się z niego nie ruszam,
ale mój syn codziennie jeździ do szkoły.

- Synu... – Szeryf ponownie przeniósł wzrok na chłopaka.
Jonahowi przeleciały przez umysł wszystkie dziwne
wydarzenia, jakie miały miejsce, od dnia przyjazdu w to
miejsce. Tajemnicza dziewczyna w czerwieni. Dziwne sny.
Motocyklista i wreszcie przerażająca wizja podczas medytacji.
- Synu?

- Wie pan, szeryfie, większość życia spędziłem w Nowym
Jorku, więc niewiele jest mnie w stanie zdziwić, ale na pewno
dam panu znać. Teraz przepraszam. Nie chciałbym tłumaczyć
spóźnienia do szkoły spotkaniem z szeryfem. To może nie
wyglądać za dobrze.

Silnik ryknął, kiedy chłopak odrobinę zbyt nerwowo
opuszczał podjazd, sprawnie wciskając się w szczelinę
pomiędzy zderzakiem radiowozu a okalającymi podjazd
drzewami.

Tego dnia w szkole był jakiś nieswój. Nie mógł się skupić

ani na nauce - przez co dostał pierwszą w swoim życiu dwóję z matematyki - ani na życiu towarzyskim. Nawet Meggy nie uświadczyla tego dnia jego uszczypliwych komentarzy. Po głowie wciąż krążyło mu poranne spotkanie z szeryfem, a właściwie nie tyle samo spotkanie, co wspomnienie śnieżnobiałych kłów odbijających się w oczach przerażonej dziewczyny z jego wizji. Nie mógł powiedzieć o tym szeryfowi, bo ten prędzej skierowałby go do psychiatryka, niż zechciał sprawdzić ten trop. Zresztą jaki to był trop? Białe zęby? Policja miałaby chodzić po lesie i zaglądać w zęby każdego napotkanego zwierzęcia? Prychnął pitym sokiem.

- Coś cię rozbawiło, wilczku? – Zapytała zdziwiona Ashley. Siedzieli razem przy ich zwyczajowym stoliku w końcu sali. Prawdę mówiąc, nie do końca wiedział jak i kiedy się tam znalazł. Wszyscy wokoło patrzyli na niego.

- Nie, przepraszam. Po prostu mi się coś przypomniało. O czym mówiliście?

- O tym, że Emilly zmarł wczoraj kot. – Ashley wyjaśniła cierpko.

- Przepraszam, Em. – Dziewczyna popatrzyła na niego krzywo lekko zapuchniętymi oczami. - Naprawdę ci

współczuję. Po prostu był dziś u mnie szeryf. Zresztą nieważne. Przepraszam.

Ponownie uciekł myślami do swojego umysłu. Był pewien, że coś mu umyka, coś bardzo ważnego, tylko nie wiedział co. Przebłysku doznał dopiero na szkolnym parkingu.

- Sorry, Ash. Dzisiaj musisz odwieźć się sama. – Zawołał do idącej kilka metrów za nim dziewczyny, pozostawiając ją zszokowaną w obłoku spalin.

Dojazd do Stan Lee East-West Dinning zajął mu zaledwie kilka minut. Nie był głodny. Ciągnęło go niezrozumiałe przeczucie, że tam się wszystko jakoś zbiega. Odnosił wrażenie że uczucie, które coraz częściej towarzyszyło mu podczas medytacji, wizja której doznał, jego sny, że to wszystko ma wspólny mianownik, który już zna.

- Czego tutaj chcesz? - Spokojnie odstawił swoją herbatkę. Nad jego głową stała wsparta pod bogi Meggie.

- To jest restauracja. W restauracji się je. – Odpowiedział jej spokojnie.

- Dałeś mi spokój w szkole, ale postanowiłeś nadrobić mi

w pracy?

- Nie schlebiaj sobie. Nawet nie wiedziałem, że dzisiaj pracujesz. Poza tym obsługuje mnie twoja ruda koleżanka i jest bardzo miła. – Dziewczyna odeszła fucząc coś pod nosem.

Lokal był zupełnie pusty i na parkingu, jeśli nie liczyć samochodu szefa i kilku skuterów należących do kucharzy i kelnerów, nie było niemal żadnego pojazdu. Jonah korzystając z sielskiej atmosfery, tak odmiennej od domu, w którym z jednej strony czyhał las, a z drugiej upierdliwa matka, w spokoju odrabiał zadania domowe na kolejny dzień.

Choć miał szlaban, a w domu miał być od niemal godziny, jego telefon wciąż milczał jak zakłuty. Opcje były co najmniej trzy. Matka zapomniała się w swojej pracy tak bardzo, że nie wie która godzina. Wie która godzina i szykuje niezłą awanturę na jego powrót im późniejszy, tym lepiej. Ewentualnie dopadł ją seryjny morderca. Ta ostatnia opcja wcale go nie przerażała, ale czego się spodziewać po nastoletnim synu?

Spędził dwie godziny na bezproduktywnym zastanawianiu się, czemu w ogóle obchodzi go seryjny morderca, który

upatrzył sobie nastolatki, czemu w ogóle interesuje go jakikolwiek morderca, skoro właśnie przyjechał z miasta, które świętowało ostatnio niebywały rekord - 12 dni bez morderstwa. Pierwsza taka sytuacja od roku 1990!

Rzucił na stół zwinięty banknot, spokojnie wystarczający na należność z napiwkiem i zniechęcony wyszedł z knajpki. Najwyraźniej jego przeczucie było mylne i umysł ściągnął go w miejsce, gdzie mógł posiedzieć w spokoju, a nie to, w którym spodziewał się czegoś dowiedzieć. Zresztą nie był przecież policjantem. Opuszczając parking omal nie zderzył się z wjeżdżającymi na niego trzema motocyklistami. Głośnym trąbieniem wyraził swoje niezadowolenie ich manewrem. W bocznym lusterku zobaczył, jak jeden z mężczyzn pokazuje mu środkowy palec. Półciężarówka cofnęła z prędkością i precyzją, jakiej nie powstydzilaby się nawet Sam. Wyskoczył, zostawiając włączony silnik. Zbliżając się do mężczyzn czuł, jak jego ciałem wstrząsają dreszcze.

- Ty! - Ryknął w stronę rosnącego faceta. - Masz coś do powiedzenia?

- Co? Ty do mnie, młody? - Mężczyzna zdjął kask. To był ten sam facet, z którym spotkał się kilka tygodni wcześniej

w tym barze. Nawet, jakby go nie zobaczył, smród był przejmujący. W zasadzie jego towarzysze śmierdzieli tak samo.

- Coś cię zabiło, to poskarż się mamusi.

- Ciebie zaraz coś zaboli! – Jonah zacisnął pięści, był już pięć metrów od nich. Niemal na odległość skoku. Długowłose i jeden z jego towarzyszy zarechotali.

- Dawaj. – Mężczyzna zrobił krok do przodu, uśmiechając się krzywo.

- Panowie, spokój. – Harleyowiec z brodą, na oko najstarszy z nich, rozdzielił ich ramionami.

- Z drogi, Jurgen. – Warknął długowłose, chcąc go wyminąć.

- Stój! - Polecenie było krótkie i skuteczne. Facet zamarł jak na komendę. - Chłopcze, zostałeś urażony, ale nie chcemy robić awantury na oczach tych panów. – Spojrzał ponad ramieniem Jonaha. Po przeciwnej stronie ulicy zatrzymał się radiowóz, jeden z mężczyzn meldował coś przez radio, obserwując ich uważnie.

Jonah nadal nie był pewien, czy nie chce się rzucić na rosnącego mężczyznę. W sumie, policja mogłaby mu w tej

sytuacji uratować życie, jeśli sprawa wymknęłaby się spod kontroli. Oddychał ciężko.

- Uspokójmy się więc wszyscy. – Kontynuował mężczyzna – I nie róbmy nic głupiego. Max, przeproś tego chłopca za swoje zachowanie.

- Przepraszam. – Długowłósy warknął przez zęby.

- Teraz wszyscy zapomnimy o całej sprawie i rozejdziemy się w pokój. – Harleyowiec powoli opuścił dłonie. - Bezpiecznej drogi, chłopcze. Nie żywimy urazy.

- Jakbym to ja was obraził. – Jonah splunął, czym prędzej wracając do samochodu. Policjanci poczekali aż opuści parking, nim włączywszy na chwilę syreny pojechali w swoją stronę.

To spotkanie na parkingu przypomniało Jonahowi, co tak bardzo ciągnęło go dzisiaj właśnie do tej knajpki. To ten smród i ładunek agresji, jaki uwalniał w nim długowłósy motocyklista. Ciekawe, jakby się to skończyło, gdyby tamten był sam. Albo gdyby jego starszy towarzysz nie interweniował. Przez całą drogę do domu Jonah rozważał różne scenariusze walki. W jednych wygrywał, w innych był zatłuczony na

śmierć. W niektórych Meggy wypadła zapłakana, rzucając się by go ocalić. Te scenariusze bawiły go najbardziej. Zawsze lubił fantastykę i jej pochodne.

- Skoro już byłeś tyle czasu w knajpie, to mogłeś coś kupić do jedzenia do domu. – Zawołała matka z dolnego piętra.

- Skoro wiedziałś gdzie jestem, od sms'a ręka by ci nie odpadła. – Odkrzyknął.

Dziwił się że nie wpadł na to, iż matka śledzi GPS w jego samochodzie i dlatego nie dzwoni, by go ochrzanić. Rzucił swój plecak w kąt pokoju. Dzięki odrobionej w knajpie pracy domowej miał wieczór i cały weekend tylko dla siebie.

Znudzonemu człowiekowi różne dziwne pomysły przychodzą do głowy. Jonah zdążył już nadrobić wszystkie interesujące go seriale, posprzątać pokój, zagrabić trawnik - który wcale tego nie wymagał, bo las był iglasty - a jeszcze nie nastał nawet sobotni wieczór. W odruchu skrajnej rozpacz, bo inaczej wyjaśnić tego się nie dało, wziął wiadro, wąż i zaczął myć wszystkie trzy samochody, jakie posiadali domownicy. O ile on i ojciec od czasu do czasu odwiedzali myjnię, o tyle praktycznie nie ruszany z garażu suburban matki pokryty był grubą warstwą kurzu. W zasadzie, gdyby nie czujniki cofania,

Jonah musiałby umyć szyby przed opuszczeniem garażu, gdyż absolutnie nic nie było przez nie widać. Paradoksalnie, pomimo całego swojego lenistwa i awersji do prac domowych, mycie samochodów naprawdę mu się podobało. Może było to związane z faktem, że mieszkając w Nowym Jorku nigdy nie miał okazji tego robić, więc praca mu jeszcze nie obrzydła będąc czymś nowym, a może to powolna powtarzalność ruchów, jakie musiał przy tym wykonać. To było coś na wzór medytacji, połączonej z wysiłkiem fizycznym, powolne dokładne ruchy, starannie kontrolowany oddech. Chromowane wykończenia jego półciężarówki lśniły niczym lustro. Jonah podziwiał właśnie w jednej z potężnych rur swoje przedziwne zniekształcone odbicie, kiedy jego wzrok zarejestrował ruch za nim. Powolne, staranne ruchy, które mogły niemal umknąć ludzkiemu spojrzeniu. Zamarł na chwilę, wpatrując się w odbicie i nasłuchując otoczenia. Z samochodowego radia płynęła muzyka, z domu płynęły dźwięki telewizora zawieszonego w salonie. Ulicą przemknął samochód. Obraz za nim ponownie się poruszył, nie wydając przy tym najmniejszego dźwięku. Chłopak wstał powoli, odkładając mokrą szmatę i tak długo, jak było to możliwe, nie spuszczał wzroku z odbicia, odwrócił tyłem do samochodu. Przed sobą

miał stojący na podjeździe elektryczny samochód ojca, a dalej betonowy mur okalający dom. Nikogo tam nie było, ale i nikogo się tam nie spodziewał. Powoli podniósł wzrok wyżej, ponad zwieńczające mur metalowe daszki, na najbliższe drzewo i dalej po jego pniu na pierwszą z gałęzi.

- Chcesz żebym dostał zawału? Tak się skradać. – Pokręcił głową z dezaprobatą, patrząc wprost na leżącą na gałęzi pumę. Wielki kot uderzył ogonem o gałąź. - No już dobrze. Już ci nie przeszkadzam, tylko tu nie wskakuj, bo to droga w jedną stronę.

Może sprawiły to hipnotyzujące, świecące niczym dwa onyksy oczy dzikiego kota, a może zmęczenie spowodowane myciem samochodów połączone z chłodnym wieczornym powietrzem, ale Jonah poczuł, jak odlatuje. Cofnął się o dwa kroki, nim jednak postawił ostatni z nich już go tam nie było. Znowu pędził przez las, tym razem głębokim rowem na poboczu drogi, wsłuchując się w równy rytm swojego serca. Słodka woń coraz mocniej drażniła jego nozdrza, poczuł jak się uśmiecha. Wiedział, że cel jego biegu jest tuż za najbliższym zakrętem. Skupił całą swoją wolę na jednej myśli. Byciu sobą, a nie zwierzęciem, którego oczami teraz patrzył. Skupił się na

myśli, że jest Jonahem Wolf, siedemnastolatkiem z Nowego Jorku. Powtarzał to sobie tak długo, aż obraz zadrgał niczym odbicie w wodzie, gdy wrzucisz do niej kamień. Stał oparty o karoserię swojego samochodu, mocno ściskając w dłoniach chromowaną ramę. Spoczywająca na drzewie puma przyglądała mu się przenikliwie z dziwnie przechyloną głową. Kiedy na nią spojrzał, w jednym skoku umknęła w las. Przetarł czoło mocno zroszone potem.

Następnego ranka nie musiał włączać telewizora, by wiedzieć, co będzie główną informacją w porannych wiadomościach i wszystkich kolejnych serwisach lokalnych stacji telewizyjnych i radiowych. Morderca po raz pierwszy zaatakował w hrabstwie Half Moon Bay. Dwadzieścia kilometrów od ich domu.

Matka pół dnia spędziła wisząc na telefonie i powtarzając Sam, jak bardzo się cieszy, że ta wyjechała, nim to wszystko dotarło tak blisko ich domu i że gdyby tutaj była, każdego dnia zamartwiałaby się na śmierć. Godna podziwu ulga, biorąc pod uwagę policyjne statystyki miasta Boston w Massachusetts. Obaj zamieszkujący dom mężczyźni ewakuowali się jak

najdalej. To oznaczało, że po raz pierwszy od bardzo dawna spędzali czas razem, grzebiąc w elektronice firmowego Volta.

XII

W poniedziałkowy poranek wszystkich uczniów czekała niespodzianka. Zamiast na pierwszą lekcję, zostali zaprowadzeni na apel do szkolnej auli.

Napięcie wśród uczniów sięgnęło zenitu, kiedy na podwyższeniu oprócz wyraźnie podenerwowanego dyrektora szkoły zobaczyli umundurowanych mężczyzn z policji miejskiej i biura szeryfa.

- Poproszę o spokój – dyrektor wszedł na mównicę. Jonah wyraźnie widział, jak mężczyzna nerwowo wyciera spoconą dłoń o spodnie. Stojąca w kącie wicedyrektor także nie trzymała się lepiej. Pomimo jej afroamerykańskiego pochodzenia chłopak był święcie przekonany, że kobieta jest błada. - Nie będę przeciągał. Oddaję głos komendantowi Applebaumowi z policji Redwood.

Pospieszenie opuścił mównicę, zupełnie jakby chciał się zapaść pod ziemię. Na sali poniósł się podniecony szum.

- Szanowne grono pedagogiczne, dziewczęta i chłopcy. -

Mężczyzna zaczął bardzo oficjalnym tonem. - Żałuję że spotykamy się w tak nieprzyjemnych okolicznościach, choć z doświadczenia wiem, że z niektórymi spośród was spotykałem się w być może gorszych. – Uśmiechnął się niewyraźnie, ale najwyraźniej dowcip nie rozbawił nawet jego, jeśli miał być dowcipem oczywiście. - Media od kilku tygodni coraz intensywniej nagłaśniają sprawę serii zgonów młodych kobiet. Do ostatniego doszło w sobotę, na terenie hrabstwa Half Moon Bay, czyli o rzut kamieniem stąd.

- To Matt Strzyżewski, nasz szeryf. – Jonah szepnął do Gabe’a.

- Stąd obecność szeryfa hrabstwa. W dniu dzisiejszym jestem zmuszony poinformować was, że ta seria zgonów jest dziełem seryjnego mordercy. – Na sali znów zaszumiało, kilkanaście co wrażliwszych dziewcząt zaczęło pisać głośno, jednej udało się chyba nawet zemdleć. Jonah stał niewzruszony, choć nawet Gabe’owi źrenice rozszerzyły się z podniecenia.

- Wczoraj rano sprawę od policji przejęło FBI. Stąd też obecność agenta... tych służb razem z nami. – Z cienia wyszedł około 30 letni blondyn, w ciemnym garniturze i nałożonej na

niego granatowej kurtce z żółtym napisem FBI. Jonah wcześniej zupełnie nie zarejestrował obecności tego mężczyzny. Stróże prawa zamienili się miejscem na mównicy. Ta zabawa zaczynała nudzić Jonaha. Zupełnie jakby jeden mężczyzna nie mógł powiedzieć wszystkiego sam. Na scenie był jeszcze szeryf, wicedyrektor i sekretarka, a strach pomyśleć, kto krył się za kulisami by przedłużyć tę karuzelę twarzy.

- Po konsultacji z szefami służb porządkowych okolicznych hrabstw i miast wprowadzamy obostrzenia, które mają zapewnić zwiększenie bezpieczeństwa. Wiemy, że człowiek ten atakuje na terenach podmiejskich, leśnych, stąd obecność szeryfa, na którym spocznie duża część odpowiedzialności za bezpieczeństwo. Do tej pory nastąpiło sześć ataków, o których wiemy. Szczegółów nie będę państwu przedstawiał, zresztą znacie je zapewne z mediów. Najważniejsze jest to, że napastnik zdaje się mieć swój typ. Do tej pory wszystkie zaatakowane kobiety były w wieku 16 – 19 lat. Miały bardzo ciemne włosy, w przeważającej liczbie czarne. Budowa ciała zdaje się nie mieć znaczenia. Wszystkie poruszały się samotnie w terenie leśnym. Proszę mnie nie zrozumieć źle. Osoby

o profilu, jaki właśnie podałem powinny szczególnie mieć się na baczności, nie oznacza to jednak, że inne mogą czuć się bezpiecznie. Na tak wczesnym etapie trudno jest mówić, że napastnik skupi się tylko na tych osobach. Zwłaszcza, że ataki są coraz częstsze. Sposób w jaki dokonuje on morderstw wyraźnie wskazuje na to, że człowiek ten wpada w morderczy szal. Przy takim zachowaniu nie można wykluczyć, że czując potrzebę morderstwa napastnik zaatakuje kobietę nie odpowiadającą profilowi. Co więcej, może on zaatakować nawet mężczyznę, jeśli ten stanie się przypadkowym świadkiem jego napaści.

Odchrząknął i mówił dalej.

- Na terenach podmiejskich zostanie zwiększona liczba patroli, ale najważniejsze będzie państwo sami zadbali o swoje bezpieczeństwo. Proszę o nieporuszanie się po terenach podmiejskich po zmroku. Jeśli musicie się udać w taki teren poruszajcie się w grupach, lub znajdźcie kogoś, kto może was podwieźć. Dobrze jest też mieć przy sobie środki obrony koniecznej. Gaz pieprzowy, czy sygnał dźwiękowy na sprężone powietrze. My ze swojej strony zrobimy wszystko, by życie jak najszybciej wróciło do normy.

Tego dnia uczniowie nie rozmawiali o niczym innym, jak poranny apel z udziałem agenta FBI. Dziewczyny skupiły się na tym, że one już nigdy nie pojedą na ognisko do lasu, no chyba że będzie im towarzyszył taki przystojny agent. Wtedy gotowe byłyby zamieszkać z nim w środku głuszy choćby na miesiąc. Jonah z niedowierzaniem kręcił głową słuchając tych wynurzeń, a to podobno faceci myślą tylko o seksie. Z drugiej strony szkolni mięśniacy przechwalali się, jak to by załatwili gostka kilkoma szybkimi prostymi, jeśli tylko by się im napatoczył.

Pomimo że apel był najciekawszym wydarzeniem w szkole od bardzo dawna, wraz z upływem dni sprawa zaczęła powoli przycichać i zapewne wkrótce poszłaby zupełnie w zapomnienie, gdyby nie fakt, że w piątkowy poranek szkołę obiegła szokująca wiadomość. Starsza siostra Gabe'a, rozgrywającego i kapitana szkolnej reprezentacji, została zaatakowana poprzedniego wieczora. Co najgorsze, to Gabe był tym, który ją znalazł. Dzisiaj chłopaka nie było w szkole, a całą historię przy stoliku VIP'ów przekazał jego kumpel z zespołu, Diego. Wiele osób chciało posłuchać tej opowieści,

ale reszta zespołu skutecznie przepędzała postronnych słuchaczy opowiadanej tragedii.

- Adally była na wzgórzach u swojego chłopaka. Pojechała tam zaraz po zajęciach na uniwerku. – Diego opowiadał cicho, pochylonym ku niemu słuchaczom. - Koleś ma złamaną nogę, więc nie mógł jej odwieźć i umówiła się, że Gabe ją odbierze. Umówili się na dziewiątą, ale później zadzwoniła, żeby dał jej jeszcze godzinę. Za dziesięć dziesiątą zadzwoniła do niego z pytaniem gdzie jest, bo zaraz będzie wychodzić. Gabe mówi, że musiała być jeszcze w środku, bo słyszał telewizor. To samo powiedział jej chłopak. Gabe był na miejscu pięć minut później. Zadzwonił że jest, ale nie odebrała. Zatrąbił, wiecie dom tego chłopaka jest 20 metrów od drogi. Z ulicy widać co się dzieje w środku. Nie dało się go nie usłyszeć, ale nie wyszła, wysiadł i zadzwonił powiedzieć, że już po nią idzie i usłyszał jej telefon. Leżała dziesięć metrów dalej w krzakach na poboczu. Musiał ją minąć podjeżdżając pod wjazd do kolesia. – Diego mocno przełknął ślinę, wyraźnie nie chciał odpowiedzieć na pytania „i co, i co”, ale w końcu zebrał się w sobie.

- Ja wiem, że ten gliniarz mówił, że to jakiś seryjny

morderca, ale jak dla mnie, to to nie mógł być człowiek. Żaden człowiek by tego nie zrobił. Nie zrobiłby tego w pięć minut. Ona była 20, może 30 metrów od domu. Jej chłopak słyszał jak Gabe podjeżdża i słyszał jak trąbi, a nie usłyszałby jej wrzasków? Policja zwinęła go w charakterze podejrzanego, ale z tą nogą na bank go puszcza. Nie było szans by w 5 minut wypuścił ją z domu, napadł na poboczu, przetrącił kregosłup, złamał szczękę, obie nogi, pogruchotał masę kości i niemal urwał rękę, a potem sobie wrócił do domu i siadł na kanapie z piwem.

Ashley wybiegła z sali trzymając się za usta. Jinx nie miała tyle szczęścia i zwymiotowała cały lunch do swojej markowej torebki. Meggy kurczowo trzymała się rantu stołu i po raz pierwszy nie zareagowała nerwową ucieczką na dotyk Jonaha, który ścisnął jej dygoczącą dłoń.

- Najgorsze w tym wszystkim jest to, że Adally przeżyła. Operowali ją całą noc, ale przetrzymała to. – Teraz i Jonahowi zrobiło się niedobrze. Przed oczami zatańczyły mu mroczki, ale po chwili uspokoił się na tyle, by wycedzić.

- Ktokolwiek to jest, trzeba zabić skurwiela. – Reszta chłopaków pomrukiem przyznała mu rację, strzelając przy

okazji knykciami.

Tego wieczora spróbował czegoś nowego. Dotychczas medytując starał się skupić na jednym aspekcie otoczenia. Trzasku gałęzi, szumie koron drzew, pohukiwaniu sowy. Izolować się od innych elementów otaczającego świata, by maksymalnie poznać i doznać tego jednego. Dzisiaj postanowił, że jego umysł nie będzie radiem w którym można posłuchać jednej stacji. Dziś postanowił być odbiornikiem, który nasłuchuje wszystkich sygnałów naraz. Każdego wieczoru, kiedy tylko rozpoczynał medytację, był właśnie taką anteną, z której wybierał jeden sygnał otoczenia. Dzisiaj potrzebował zrobić to dokładniej. W rogach niewielkiego koca, na którym zazwyczaj odbywał swoje sesje, postawił cztery talerzyki, na które nasypał wybrane na chybił trafił co bardziej aromatyczne zioła. Były tam więc lawenda czy szałwia, ale i mięta, kolendra, oregano czy lubczyk, oraz suche igły, które znalazł pod drzewami. Swoją brzuch, tors, szyję i ramiona natarł olejkami kamforowymi.

- Co ty odstawiasz najlepszego?! - Matka wydarła się na pół lasu, stając w szklanych drzwiach. - Naćpałeś się czegoś?

W Nowym Jorku ci nie odważyło, a tu daje w czapę?

- Uspokój się. Niczego się nie naćpałem. – Odpowiedział, oddychając głęboko. Od intensywnego zapachu kamfory zaczynało mu się kręcić w głowie.

- A to zioło to co?

- W koszu masz opakowania. Wszystko jest ze sklepu zielarskiego w mieście. Nic nielegalnego, a teraz pozwól. Zamierzam medytować. – Nie chciał się denerwować, bo mogłoby to zniweczyć jego plany, ale czuł, jak zaczyna mu się podnosić ciśnienie. Kiedy matka raczyła już dać mu spokój, wymruczawszy niezrozumiale jeszcze kilka opinii, podpalił wreszcie kupione zioła. Chwilę zajęło, nim naprędce zrobione kadzidła rozpały się na dobre, ale kiedy to się już stało, efekt był natychmiastowy i niewiarygodny. To, co sekundę wcześniej było jego zwykłym odczuwaniem rzeczywistości - już znacznie doskonalszym aniżeli u innych osób, lecz wciąż dalekim od ideału - nagle uderzyło w niego z siłą nie zdwojoną, nie potrojoną, a silniejszą po stokroć. Od nagłego uderzenia dźwięków i obrazów zahaczało mu w głowie, która zdawała się mu zaraz eksplodować. Zgiął się w pół, łapiąc za uszy, powstrzymując od krzyku resztkami woli. Kiedy pierwsza fala

minęła, a on odrobinę oswoił się z nową głębią swojej podświadomości, zaczął powoli odkrywać ten wszechświat nowych możliwości.

Odkrył że to, co dotychczas było jedynie dźwiękiem pohukującej sowy czy oddechem wydawanym przez skradającego się wielkiego kota, teraz jest obrazem dumnego ptaka, który rozgląda się za kolacją przemykającą wśród listowia i wielkim kotem, który ostrożnie stawia swoje łapy, zostawiając płytkie ślady w błocie. Wszystko to, co do tej pory słyszał, teraz widział i co najważniejsze, mógł sam zdecydować o tym co ogląda. Widział z gałęzi najwyższej sosny siebie, siedzącego na trawniku i widział wiewiórkę, która obserwuje go siedząc na tej gałęzi. Widział rysia, który skacze ku niemu i zająca, który ucieka w popłochu przed nim wykonującym ten skok. Z niepohamowaną ekscytacją przeskakiwał od stworzenia do stworzenia, obserwując coraz to nowy obszar lasu z każdej możliwej perspektywy. Zastanowił się, gdzie mieszkają jego koleżanki i czy kruki mają w zwyczaju zaglądać im przez okna. Zaśmiał się w tym samym momencie, kiedy sowa zahuczała dziwnie podobnie. Otrząsnął się z tych myśli. Nie po to nawąchał się potencjalnie

niebezpiecznych ziół, by oglądać przebiegające się koleżanki. Z drugiej strony, czemu miałby nie robić tego przy okazji? Wziął dwa głębsze oddechy, spychając w głąb świadomości wizje rozebranych koleżanek i skupiając się na zadaniu, jakie przed sobą postawił. Przemierzał las, obserwując go oczami jego mieszkańców. Raz był rysiemy goniącym za swoją ofiarą, by po chwili stać się wiewiórką chrupiącą orzech, lub myszą ukrywającą się wśród listowia. Las był ogromny i nie sposób było przemierzyć go całego, nawet jeśli wiedziałoby się, czego się szuka. Nie wiedział też, w jaki sposób ma odnaleźć te oczy, które aktualnie obserwują drogę i samochody. Wystarczyła ta jedna myśl, o samochodzie pędzącym po drodze, by zawisł nagle dziesiątki, jeśli nie setki metrów nad ziemią, czujnym okiem sokoła przyglądając się przecinającej wzgórze wąskiej wstążce asfaltu pod nim. To niesamowite, ile rzeczy i z jak wysoka potrafiły dostrzec sokoły. Widział kruki latające tuż nad drzewami i myszy harcujące w listowiu pobocza. Gdzieś w oddali stado wróbli biło się o niedojedzoną bułkę, robiąc niesamowitą ilość hałasu. W pobliżu poboczem szła dziewczyna. Była odwrócona do niego plecami, ale wszędzie poznałby jej czerwony płaszcz. Reed Hut spacerowała beztrąsko, jakby jej nie dotyczyły ostrzeżenia policji i FBI.

Nawet z tej odległości, obserwując jej zachowanie miał pewność, że dziewczyna cieszy się tym spacerem. Przyglądała się przyczajonej na drzewie wiewiórcie, którą on obserwował z rosnącym od dobrej chwili apetytem. Przystanęła na chwilę przy stadzie walczących wróbli. Prąd gorącego powietrza zmusił go do zatoczenia koła i wzniesienia się niemal sto metrów wyżej.

Wtedy go zobaczył. Potężny płowy kształt poruszający się w ślad za nią w lesie, zaledwie kilka metrów od drogi. Kiedy dziewczyna przystanęła, on również się zatrzymał, przywierając do ziemi i nie spuszczać z niej oka nawet na chwilę. To coś było większe od rysia, czy pumy i zwinniejsze od niedźwiedzia. Nie miał pojęcia, co to za zwierzę, ale wiedział że nie powinno go tu być. Krążąc wysoko w powietrzu starał się krzyknąć „Hut”, ale z jego trzewi wyrwał się jedynie skrzek jastrzębia, którym nie przejęła się żadna istota w lesie.

Reed ruszyła dalej, a po chwili uniosło się śledzące ją zwierzę, powoli krok za krokiem zbliżając się do dziewczyny. Zapikował w dół na skrzydłach jastrzębia, raz za razem skrzecząc w języku jastrzębi „Reed, Reed, Reed”, był coraz

niżej i zaczynał wątpić, czy ten ptak jest w stanie nie rozbić się o ziemię z takiego nurkowania. Jeszcze sto metrów, pięćdziesiąt, trzydzieści. Dziewczyna odwróciła się, patrząc na niego zdziwionym wzrokiem. Usłyszał za sobą krótki sygnał policyjnej syreny.

Otworzył oczy, siedząc na trawniku za swoim domem. Gdyby takie coś przydarzyło mu się kilka miesięcy temu uznałby, że się nawąchał za dużo ziół. Po wszystkich wydarzeniach, jakie miały miejsce od jego przyjazdu tutaj wiedział, że wszystko co przed chwilą widział było prawdą.